



DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ I

Zbrodnie sowieckie

- Operacja (anty)polska NKWD
- Deportacje Polaków na Syberię
- Zbrodnia katyńska
- Masakry więzienne '41



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Organizatorzy:

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

SPIS TREŚCI

70-72 OPERACJA ANTYPOLSKA

Piotr Zychowicz

Operacja polska NKWD była pierwszym ludobójstwem dokonany na narodzie polskim. NKWD w bestialski sposób zgładziło 200 tys. Polaków

73-75 Z KRESÓW NA ZESŁANIE

TOMASZ STAŃCZYK

Deportacja osadników i leśników wraz z całymi rodzinami odbyła się w nocy 10 lutego 1940 r., przy temperaturze minus 30-35 stopni

76-77 ZBRODNIA KATYŃSKA

MACIEJ ROSALAK

W Katyniu ginął kwiat narodu: znakomici oficerowie służby czynnej i rezerwy. Wielu miało około 40 lat. W 1920 r. rozgromili bolszewików

78-80 1941. ZBRODNIA

„Z POTRZEBY CHWILI”

BOGDAN MUSIAŁ I PIOTR WŁOCZYK

Pospolitych przestępców zwolniono, natomiast więźniów politycznych NKWD masowo mordowało w więzieniach i „marszach śmierci”

81-83 CZERWONA ZARAZA

1944-1945

MACIEJ ROSALAK

Bez pomocy sowieckiej PPR nie miała szans na zdobycie władzy, a nawet ujawnienie się w terenie w jakimkolwiek regionie Polski



REDAKCJA:
Redaktor: Maciej Rosalak

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedziello (grafik prowadzący),
Anna Sobieska-Wójtowicz (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: Edyta Bortnowska,
Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś
Okładka: Muzeum Katyńskie



„Towarzysze broni” – karykatura z francuskiego pisma „Le Rire”, październik 1939 r. FOT. ARCHIWUM



Ludobójstwo z rąk Sowietów

Tym dodatkiem „Do Rzeczy” rozpoczynamy cykl poświęcony tragicznej sytuacji polskiego narodu w latach wojny i tuż po niej. Zagładzie Polaków – zwłaszcza polskich elit – z rąk niemieckich towarzyszyła również okrutna zagłada elit z rąk sowieckich. Podobieństwo celu, metod i czasu jest uderzające. W żadnym kraju podbitej Europy nie doszło do takich zbrodniczych działań dwóch okupantów naraz i każdego z osobna, szczególnie właśnie w eksterminacji warstw przywódczych ujarzmianego narodu. Ludzie we Francji, w Belgii, Holandii, Norwegii czy Danii, ale też w Czechach, na Węgrzech czy w Rumunii, nie zdają sobie nawet sprawy z różnicy między obecnością niemiecką na ich terytoriach a podwójną, wyjątkowo ludobójczą okupacją na ziemiach polskich.

Nasi rodacy doświadczyli ludobójstwa z rąk Sowietów już w końcu lat 30., kiedy tzw. operację polską przeprowadziło NKWD, mordując na terytorium ZSRS niemal 200 tys. Polaków tylko dlatego, że byli Polakami. Po zdrazieckim wbiciu nam noża w plecy we wrześniu 1939 r. wywozili z kresów na niemal pewną śmierć wśród bezlitosnych kazachstańskich, syberyjskich i dalekowschodnich pustkowi setki tysięcy polskich mężczyzn, kobiet i dzieci. W tym samym czasie dokonali masowej zbrodni, rozstrzelując bezbronnych jeńców, do czego nie posunęli się nawet hitlerowcy. To oczywiście mord katyński. Gdy zaś zaatakował ich dotychczasowy sojusznik – Hitler – masowo mordowali więźniów politycznych w więzieniach oraz w marszach śmierci, gdy gnali nieszczęśników na wschód.

Polacy, którzy już tak dużo wycierpieli podczas wojny, poddani zostali przez Sowietów następnym okrutnym represjom w latach 1944–1945. W ciągu przynajmniej trzech kolejnych lat opierali się jednak narzuconej władzy, o czym świadczą prawdziwe wyniki referendum (1946) i wyborów parlamentarnych (1947). Było tak, choć Niemcy i Sowieci wybili w dużym stopniu polskie elity zarówno w największych miastach, jak i w środowiskach lokalnych. Zginęła trzecia część ludzi mających w 1939 r. wyższe wykształcenie, blisko 60 proc. prawników, 50 proc. lekarzy, ponad 30 proc. nauczycieli akademickich. Akces do jawnego oporu w 1945 r. obejmował około 200–250 tys. ludzi, którzy stanęli z bronią w rękę do narodowego powstania.

Za upiorną personifikację rosyjskiej zbrodni może uchodzić major NKWD Wasilij Błochin. Sam Stalin szczególnie lubił tego swego ochroniarza, bo własnorecznie rozstrzelał podobno 50 tys. ludzi. A oto pierwsze wrażenie jego kolegi, Tokariewa, gdy wiosną 1940 r. ujrzał go po raz pierwszy w akcji: „Błochin włożył swoją odzież specjalną: brązową skórzaną czapkę, długi skórzany fartuch, skórzane brązowe rękawice z mankietami powyżej łokci. Wywarło to na mnie ogromne wrażenie – zobaczyłem katal!”. Po tym, gdy 4 kwietnia 1940 r. zgładzono w Twerze 343 Polaków, Błochin stwierdził, że w ciągu nocy jest w stanie rozstrzelać najwyżej 250. Od tej pory transporty ofiar do miejsca kaźni oscylowały wokół tej liczby. I tak to towarzysz Błochin ustalił sowiecką dzienną normę ludobójstwa. ©



Operacja (anty) polska



Piotr Zychowicz

Operacja polska NKWD była pierwszym ludobójstwem narodu polskiego. NKWD w bestialski sposób zgładziło 200 tys. Polaków

Liczba ofiar operacji polskiej jest szokująca, zważywszy na to, że w owym czasie w całym Związku Sowieckim mieszkało około 1,5 mln Polaków. Szokująca jest również proporcja wyroków śmierci i wyroków pozbawienia wolności, które wydano podczas operacji polskiej. Otóż zamordowano około 80 proc. spośród wszystkich

represjonowanych. Jak wyliczył amerykański historyk Terry Martin, Polacy byli wówczas 30,94 razy bardziej narażeni na rozstrzelanie niż członkowie innych grup etnicznych zamieszkujących ZSRS.

Rozkaz przeprowadzenia tej bezprecedensowej akcji eksterminacyjnej wydali sowiecki dyktator Józef Stalin i szef bezpieczeństwa Nikołaj Jeżow.

MORD

Nie ma wątpliwości, że operacja polska NKWD była ludobójstwem. Spełnia bowiem wszystkie kryteria definicji tego zjawiska stworzonej przez Raphaela Lemkina. Zgodnie z nią ludobójstwo jest bowiem czynem „dokonanym w zamiarze zniszczenia w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych jako takich”.

Jedynym kryterium, którym kierowali się NKWD-ziści podczas rzezi Polaków w latach 1937–1938, była zaś właśnie narodowość ofiar.

Zacząło się od krwawej wewnętrznej czystki, której ofiarą padli działacze komunistyczni polskiego pochodzenia, oficerowie Armii Czerwonej i czekiści. Na porachunkach czerwonych bandziorów się nie skończyło. Rozprawa z polskimi komunistami stała się katalizatorem zakrojonej na znacznie szerszą skalę ludobójczej operacji wymierzonej we wszystkich Polaków.

Impulsem do jej przeprowadzenia był słynny rozkaz nr 00485 wydany 11 sierpnia 1937 r. przez Nikołaja Jeżowa. Szef NKWD napisał w nim, że Polska Organizacja Wojskowa (POW) głęboko zinfiltrowała ZSRS, i wezwał do fizycznej eliminacji polskich agentów.

Kościół w Białymstoku na Syberii (obwód tomski), gdzie w 1938 r. zamordowano niemal wszystkich mężczyzn – Polaków

FOT. MARAT BAYMUKASHEV/MAPY GOOGLE



umieszczano krótki opis popełnionych przez nich „antysowieckich zbrodni”. Album taki był następnie przesyłany do Moskwy, gdzie Nikołaj Jeżow i złowrogi komunistyczny prokurator Andriej Wyszynski hurtowo podpisywali wyroki.

W założeniu operacja polska miała potrwać trzy miesiące. W rzeczywistości trwała półtora roku.

Straszliwy mechanizm, który doprowadził do tej wielkiej rzezi Polaków, przypominał kulę śniegową i był charakterystyczny dla całego wielkiego terroru. Śledczy NKWD podczas nocnych przesłuchań – za pomocą bestialskiego bicia i wyrafinowanych tortur – zmuszali aresztowanych Polaków do przyznania się, że byli członkami POW. Polskie pielęgniarce przyznawały się, że z polecenia tej organizacji trują sowieckie dzieci. Robotnicy, że niszczyli maszyny. Kołchoźnicy, że podpalali zagrody i stodoły.

Aby zmusić aresztowanych do przyznania się do udziału w spiskach, używano biczów, pałek, bagnetów, pistoletowych kolb, a nawet elektryczności. Stosowano cały wachlarz tortur, który kilka lat później – po roku 1944 – czekiści wprowadzili do okupowanej Polski. A więc: wyrywanie paznokci, gaszenie papierosów na dłoniach, odbijanie nerek, miażdżenie jąder w szufladach biur.

W przypadku operacji polskiej dysponujemy dokładnymi opisami niektórych makabrycznych praktyk. W 1939 r., po zakończeniu tej fazy terroru, Stalin postanowił bowiem wymienić ekipę czekistów. Jeżow i jego ludzie zostali eksterminowani, a na ich miejsce przyszła nowa, nie mniej krwiożercza ekipa kierowana przez Ławrientija Berię.

W ramach rozprawy z jeżowszczyzną prowadzono wiele spraw karnych, podczas których odsłonięto kulisy operacji. I tak na przykład NKWD-zista Michaił Gluzman opowiadał: „Mańko nakazał wszystkim 15 aresztowanym zdjąć spodnie, a pierwszym trzem położyć się na podłodze. Trójka [funkcjonariuszy] biła przesłuchiwaną biczami. Pozostających 12 ludzi Mańko zmusił w tym czasie do wykrzykiwania: »Jestem hitlerowcem, faszystą, dostawałem 15 razy hitlerowskie marki«. Po zakończeniu bicia pierwszych trzech pytało aresztowanych: »Kto chce złożyć zeznania?«. Wszyscy, jak jeden mąż, podnosili ręce”.

I dalej: „Kiedyś, w miesiącu czerwcu 1938, wszedłem przypadkowo do gabinetu Małuki i zastałem tam jednego

więźnia, którego Małuka i jeszcze dwóch ludzi zmuszali do trzymania w rękach przewodów elektrycznych bez izolacji. Człowiek ten był cały siny”. Więzienna felczerka z Żytomierza, Matrina Gnienna, opowiadała zaś, jak wielokrotnie wzywano ją do zakatowanych podczas śledztwa więźniów. NKWD-ziści za każdym razem zmuszali ją do wypisywania fałszywego zaświadczenia zgonu, w którym musiała pisać, że więzień zmarł na zawał lub inne schorzenie.

Dręczeni, złamani ludzie byli zmuszani do podawania nazwisk swoich rzekomych towarzyszy z nieistniejących siatek POW. Doprowadzeni do kresu wytrzymałości wymieniali nazwiska osób, które znali: znajomych, członków rodzin, kolegów z pracy. Osoby te natychmiast trafiały za kraty, gdzie cała procedura się powtarzała. Kolejne nocne przesłuchania, kolejne tortury i kolejne dziesiątki nazwisk. I tak w kółko. Liczba zamordowanych i „wykrytych polskich siatek szpiegowskich” rosła lawinowo.

Oficerowie NKWD, podobnie jak wszyscy inni ludzie sowieccy, musieli wyrobić normę. I tak na przykład w Żytomierzu każdy śledczy musiał uzyskać dziennie osiem „rozłamów” aresztowanych. Jeżeli jakiś oficer tej normy nie wyrabiał, to mógł zamienić się miejscami z oskarżonymi. Mógł zostać uznany za antysowieckiego sabotażystę, który torpeduje śledztwo i działa w porozumieniu ze spiskowcami.

Nietrudno sobie wyobrazić, jakie efekty przynosił taki szatański system. NKWD-ziści nie tylko wymyślali najbardziej niedorzeczne zarzuty, aby wymusić na aresztowanym przyznanie się do winy, lecz także stosowali bestialskie tortury. Były szybciej, byle zdemaskować więcej polskich szpiegów i wykryć więcej komórek POW.

Do „wyteżonej pracy” zachęcał oprawców Józef Stalin, który osobiście nadzorował postępy operacji polskiej.

NOCNE EGZEKUCJE

W efekcie Polacy stali się zwierzyną łowną. Wyszukiwano ich w książkach telefonicznych (wystarczyło nazwisko kończące się na „-ski” lub „-wicz”), w kadrach zakładów pracy czy na listach lokatorów. W polskich miejscowościach przeprowadzano łapanki.

Wkrótce wszelkie podobne formalności przestały odgrywać jakąkolwiek rolę. Polaków mordowano na tak masową

W rzeczywistości jednak żadna POW nie istniała. Była wytworem wyobraźni NKWD-zistów, a kryteria zawarte w rozkazie sprawiały, że na represje narażony był właściwie każdy Polak żyjący na terenie Związku Sowieckiego. Kary przewidziano dwie. Albo rozstrzelanie, albo – dla „mniej groźnych” – wysłanie do łagru na 5–10 lat, co często na jedno wychodziło. Warunki panujące w sowieckich obozach koncentracyjnych były bowiem straszliwe i ludzie padali w nich jak muchy.

MECHANIZM TERRORU

Dla Polaków wprowadzono specjalny sposób mordów, tak zwany tryb albumowy. Była to procedura pozasądowa. Nazwiska skazanych na śmierć wpisywano do specjalnego albumu, w którym

■ skale, że nie przejmowano się aktami zgonu ani nawet... wyrokami. Jeden z oprawców Grigorij Wiatkin ujawnił, że w szczytowym okresie operacji polskiej czekiści łamali nawet zasady zbrodniczego bolszewickiego prawa.

W wielu przypadkach ludzi najpierw mordowano, a dopiero później zatwierdzano wyroki. Dochodziło do sytuacji, w których myliły się nazwiska, daty urodzenia i cele. W efekcie rozstrzeliwano zupełnie przypadkowych ludzi tylko dlatego, że nazywali się podobnie do tych skazanych.

Polaków mordowano na ogół tradycyjną sowiecką metodą, czyli pojedynczym strzałem w tył czaszki. Mordy przeprowadzane na Polakach przybrały formę sadystycznej orgii. Zabijano ich w więzieniach, lasach, we wsiach, a nawet w łągach, do których wcześniej zostali wysłani. Oprócz strzału w tył

Zamęczonych Polaków chowano na cmentarzyskach używanych przez Czecha od czasów rewolucji. Grzebano ich na pustkowiach i wrzucano do rzek. Zdarzało się, że mordów dokonywano na terenie opuszczonych kościołów i klasztorów. Tam też chowano ofiary. Kierowca kijowskiego NKWD Musogorski zeznał: „Ludzi rozstrzeliwano w podziemiach więzienia, a w nocy specjalnymi kleszczami ładowano zwłoki na ciężarówki. Tymi kleszczami łapaliśmy ciała za szyję i nogi i rzucaliśmy je na przyczepę. Potem przykrywaliśmy je brezentem i wywoziliśmy do Bykowni. Ciała wrzucano jedno na drugie do dołów”.

ZEMSTA NA RODZINIE

Śmierć oskarżonego nie zamykała jednak wcale prowadzonej przeciwko niemu sprawy. Po wykonaniu egzekucji – zgodnie z osobistą instrukcją Jeżowa

rodzice straconego Polaka byli wypędzani na bruk. Pozbawieni majątku, dachu nad głową i możliwości zarobkowania na ogół nie przeżywali pierwszej zimy.

Do naszych strat osobowych z tego okresu należy również doliczyć sporą część spośród kilkudziesięciu tysięcy Polaków wysiedlonych do Kazachstanu. Bolszewicy podczas trwania operacji polskiej deportowali bowiem Polaków mieszkających w pobliżu granicy z Polską. Deportacja odbywała się w straszliwych warunkach, wielu ludzi – szczególnie dzieci – nie przetrwało drogi. Inni umarli w lepiankach na kazachstańskich stepach.

KONSEKWENCJE

Operacja polska NKWD z lat 1937–1938 jest jedną z największych zbrodni popełnionych na narodzie polskim w jego historii. Zginęło w niej 10 razy więcej Polaków niż w operacji katyńskiej oraz dwa razy więcej niż w Auschwitz i podczas ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

Mimo to informacje o rzezi lat 1937–1938 właściwie nie przebiły się do świadomości polskiej opinii publicznej. Zdecydowana większość Polaków nie ma pojęcia, że do takiego ludobójstwa doszło. A jego konsekwencje były olbrzymie.

Sowietom udało się niemal całkowicie wyrugować polskość na tak zwanych dalszych Kresach. Wymazać wszelki ślad, że ziemie te wchodziły niegdyś w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

„Słowo »ludobójstwo« – pisał Tomasz Sommer – najbardziej precyzyjnie oddaje esencję eksterminacji sowieckich Polaków. Nawet w porównaniu z innymi zbrodniami wielkiego terroru skala tych mordów robi szczególnie wrażenie. Pewne grupy demograficzne Polaków zostały bowiem wymordowane niemal w całości, co doprowadziło do dystrofii polskich rodzin, a to z kolei wpłynęło na załamanie się i doprowadziło do zaniknięcia polskości jako takiej. Władze sowieckie udowodniły, że aby zlikwidować jakąś narodowość, nie trzeba wybijać wszystkich jej członków, wystarczy wymordować osoby utrzymujące jej strukturę społeczną, czyli mężczyzn w sile wieku, oraz zabronić nawiązywania do ich etosu. A po usunięciu kręgosłupa reszta tkanki społecznej zapadnie się już sama”.

© Wszystkie prawa zastrzeżone

Wiele polskich sierot powiększyło milionowe rzesze bezdomnych dzieci, tzw. bieżprizornych. FOT. ARCHIWUM



głowy stosowano masowe rozstrzelania, zdarzało się, że wyroki wykonywano kijami.

Znany jest przypadek wyjątkowo okrutnego oficera NKWD z Kujbyszewa Iwanowa. „Przeprowadzał on konkursy zabijania jednym kopnięciem – pisał w książce »Operacja antypolska« Tomasz Sommer. – Sam natomiast, chodząc w białym kitlu, przy pomocy specjalnego narzędzia, rozrywał ludziom gardła, dzięki czemu zyskał wśród swoich kompanów przydomek »Lekarz«. Iwanow domagał się współczucia z uwagi na stracone zdrowie w związku z intensywnym wykonywaniem wyroków śmierci”.

– represje spadały na rodziny zabitych. Natychmiast aresztowane były żony, które wysyłano na minimum pięć lat do obozu koncentracyjnego wśród śniegów. Rzadko która Polka stamtąd wróciła. Dzieci zabitego „wroga ludu” były zaś pakowane albo do łągru (powyżej 15. roku życia), albo do odległego od miejsca zamieszkania sierocińca, gdzie starano się z nich wyrugować polskość.

Konfiskacie ulegał również cały majątek represjonowanej rodziny. Po aresztowaniu żony na drzwi domu zakładane były specjalne plomby. Ponieważ obowiązywał wówczas model rodziny wielopokoleniowej, w praktyce oznaczało to, że



Polskie kobiety i dzieci na syberyjskim zesłaniu FOT. OSRODEK KARTA

Z kresów na zesłanie



Tomasz Stańczyk

Setki tysięcy polskich obywateli skazano na wypędzenie z domów i niewolniczą pracę. Większość z nich stanowili Polacy

Osadnicy wojskowi wywodzili się z grup byłych żołnierzy, którym za zasługi podczas wojny z bolszewicką Rosją rząd nadawał ziemię we wschodnich województwach Rzeczypospolitej. Wielu z nich było kawalerami Orderu Virtuti Militari. Mieli wzmocnić polski żywioł na kresach i stać się ostoją państwa, szczególnie tam, gdzie Polaków było mało, m.in. na Wołyniu. Wysiedleniu podlegali nie tylko osadnicy wojskowi, lecz także ci, którzy przyjechali na Kresy Wschodnie i kupili gospodarstwa rolne. Deportowani mieli zostać także nabywcy ziemi od osadników, leśnicy, gajowi i inni

zatrudnieni do wybuchu wojny w lasach państwowych i prywatnych. Sowietnicy obawiali się, że mogą się stać oparciem dla ewentualnej partyzantki.

W MROŹNY ZIMOWY ŚWIT

Niecały miesiąc po zajęciu wschodnich województw Rzeczypospolitej, 10 października 1939 r., Ławrientij Beria, szef NKWD, wydał dyrektywę ludowym komisarzom Białorusi i Ukrainy, nakazując przeprowadzenie ewidencji osadników, poddanie ich inwigilacji oraz aresztowanie tych, co do których istnieją dowody „wroziej działalności”. Decyzję o deportacji podjęto na początku grudnia biuro polityczne partii bolszewickiej, a w ślad za tym odpowiednie rozporządzenia wydał sowiecki rząd.

Zima 1940 r. należała do najmroźniejszych w XX stuleciu. Deportacja osadników i leśników wraz z całymi rodzinami odbyła się w nocy 10 lutego 1940 r., przy temperaturze minus 30–35 stopni. Przed świtem do domów rodzin przeznaczonych do zsyłki wtargnęły grupy złożone z NKWD-zysty i towarzyszących mu żołnierzy lub

miejscowych białoruskich, ukraińskich i żydowskich milicjantów. Czas na spakowanie się i opuszczenie domu był krótki. Dawano na to najwyżej dwie godziny, choć częste były przypadki drastycznego postępowania: deportowani mieli być gotowi w 20 minut, maksymalnie dawano im pół godziny. Pozwalano zabrać rzeczy, do 500 kg na rodzinę. Przypominano niekiedy, by nie zapomnieli pić ani siekier. Większość deportowanych miała bowiem pracować przy wyrębie lasu.

Joanna Wałach-Warzecha, deportowana z Wołynia, wspomniała:

Plakaliśmy wszyscy i żegnaliśmy ostatnim spojrzeniem całe domostwo, dom, którego nie zdążyliśmy wykończyć, i to wszystko, co było dla nas tak drogie i bliskie. Zawiezieni zostaliśmy do Szepietówki, gdzie czekały już setki ludzi w zimnej, nieopalonej szkole. Zmęczeni, zmarznięci, wpełchnięci zostaliśmy do bydłowego wagonu. Byli tam sami obcy ludzie. Wśród ogólnego przygnębienia i płaczu – pociąg ruszył na wschód. Błagalny śpiew »Pod Twoją obronę« wlatywał ku niebu

(„Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940–1946”, Londyn 1996).

W trzaskającym mrozie wieziono wysiedlone rodziny na stacje kolejowe. Czekwały tam na nie składy złożone z ponad 50 wagonów towarowych. Były w nich drewniane prycze, piecyk i otwór w podłodze, służący jako toaleta. Piecyk nie był w stanie zapewnić ciepła w całym wagonie. Ubrania i włosy ludzi, którzy usadowili się przy ścianach wagonu, przymarzały do nich, tak że trzeba było je odcinać nożem. Chociaż w dyrektywie przewidywano, że jeden wagon ma być przeznaczony dla 25 osób, niejednokrotnie nie upychano w nim dwa razy, a nawet trzy razy więcej ludzi. Podróż do miejsca przeznaczenia trwała od dwóch tygodni do miesiąca. Nie wszyscy ją przeżyli, ale wypadki śmierci nie były bardzo liczne. Ciała zmarłych pozostawiano na stacjach kolejowych lub pomiędzy nimi, w śniegu.

Deportowanych umieszczano w „specposiołkach” – specjalnych osadach. Naczelnik NKWD obwodu archangielskiego – trafiła tam największa grupa deportowanych w lutym 1940 r. – raportował, że wielu z przybyłych nie ma odpowiedniego obuwia lub jest go pozbawionych, a także zimowych ubrań. Zauważał także, że przysłano ludzi chorych psychicznie i sparaliżowanych, wymagających opieki. Dyrektywy w sprawie wysiedlenia były jednak bezlitosne – zabierano wszystkich członków rodziny, nie bacząc na ich stan zdrowia, także kobiety w zaawansowanej ciąży. Były przypadki, że rodziły w wagonach.

Podczas lutowej deportacji wygnano z domów i skazano na niewolniczą, wyczerpującą pracę w ekstremalnie trudnych warunkach 140 tys. osób. Wśród nich Polacy stanowili 81 proc. – 114 tys.

DOJMUJĄCY GŁÓD

Alicja Hensel-Maguza, deportowana z rodzicami, zapamiętała przywitanie przez zastępcę komendanta „specposiołka”, który odezwał się tymi słowami: „Wy, polskie pany, tu będziecie zdychać. Polski nigdy nie było i nie będzie, tu zdechniecie, polskie psy”. Inny komendant mówił drwiąco: „Tu jest wasza Polska”.

W opowieściach deportowanych bardzo często przewija się motyw głodu. Anastazja i Krystyna Soleckie wspominały:

Największą plagą i głównym powodem innych plag był głód. Głód sprowadzał choroby. Głód zabijał serca w ludziach, którzy za kawałek chleba donosili na współnędzarzy. Głód doprowadzał do sprzedania ostatniego łaszka, że nie było



Towarzysz Śmierć eskortuje pociąg zesłańców...

FOT. GETTY IMAGES

w czym umarłych pochować. Głód doprowadzał do jedzenia zdechłych koni. Głód robił człowieka zwierzęciem niepomnym na nic. Powoli zatracił człowiek szlachetne instynkty, przestawał ratować drugich, bo sam ginął z wyczerpania

(„Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940–1946”, Londyn 1996).

Siostry Soleckie zapamiętały heroicznego 70-letniego pana Majewskiego z powiatu nieświeskiego, deportowanego z czworgiem wnucząt w wieku od 3 do 12 lat (ojciec dzieci uciekł przed bolszewikami, matka zmarła podczas sowieckiej okupacji):

Nie tracił nadziei dziadzio, mył i cesał dziewczynki, gotował co mógł i karmił dzieci. Uczył pacierza, opowiadał o Bogu i stale im powtarzał, że gdy umrze, mają pamiętać o Bogu i o Polsce”. Niestety, zachorował i został wywieziony ze „specposiołka”, a wnuczęta trafiły do domu dziecka.

Racje żywnościowe były minimalne i prowadziły do szybkiego wycieńczenia, a nawet do śmierci. Niepracujący dostawali 200–300 gramów chleba dziennie, pracujący – od 600 do 800 gramów. Bywała też miska zupy z rybich głów lub rzadki kapuśniak.

Edward Mamczak relacjonował:

Ludzie umierali głównie z głodu i wyczerpania pracą. Nie było się w co ubrać, nie było co jeść, a kazali tylko pracować. Wiem, że wymarła cała rodzina Turków. Pamiętam, jak najmłodszy chłopczyk zebrał o chleb, nikt mu nic nie dał, bo sam nie miał. Chłopiec ten zmarł z zimna i głodu

(„Relacje deportowanych z Kresów Wschodnich w 1940 roku”, Kielce-Kraków 2014).

Ratowano się, sprzedając przywiezione rzeczy, także ubrania, zbierając w lesie grzyby i jagody, na polach szczaw i szczypiorek. Czasami deportowanym pozwalano zakładać ogródki warzywne. Dorośli pracowali przy ścinaniu drzew, nawet 12 godzin dziennie i siedem dni w tygodniu, jeśli trzeba było wypełnić normę, i w mrozie do minus 40 stopni.

Dzieci do 14.–15. roku życia chodziły do szkoły – tam, gdzie w miejscu zesłania była – jednak wiele z nich nie chciało brać udziału w lekcjach, na których słyszały, że Boga nie ma. Po zajęciach były wykorzystywane do drobniejszych prac, takich jak zbieranie gałęzi ze ściętych drzew i palenie ich, pomagały przy zwózce. Na zesłaniu umarły dwie córki Marii Szuby-Tomaszewskiej, dwuipółletnia Hania i pięcioletnia Krysia.

Dziwne, ale nie rozpaczalam, nie bylam zdolna do tego uczucia. W srodoku bylam pusta, ot, popiół i nic więcej. W kółko myślałam, że moim dzieciom na tym drugim świecie jest lepiej – nie są głodne, zmarznięte i chore

(„Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940–1946”, Londyn 1996).

O opiece lekarskiej nie było mowy. Jeśli był w „specposiołku” felczer, to nie miał zwykle żadnych lekarstw, a jego rola sprowadzała się tylko do dawania zwolnień w przypadku choroby uniemożliwiającej pracę.

RODZINY REPRESJONOWANYCH I „BIEŻENCY”

13 kwietnia 1940 r. rozpoczęła się druga deportacja. Tym razem wysiedleniu – na 10 lat – w myśl sowieckiej zasady odpowiedzialności zbiorowej podlegały rodziny polskich oficerów i policjantów z obozów w Ostaszkowie, Starobielsku i Kozielsku, a także innych osób aresztowanych, w szczególności wojskowych i policjantów, a także strażników więziennych, żandarmów, ziemian, fabrykantów, urzędników państwowych oraz „członków kontrrewolucyjnych organizacji powstańczych”.

Decyzję o deportacji rodzin osób represjonowanych podjęło sowieckie biuro polityczne na początku marca 1940 r., na trzy dni przed inną decyzją: zamordowania osadzonych w trzech obozach i więzieniach na Ukrainie i Białorusi – razem 22 tys. osób.

Paulina (Ola) Watowa, wywieziona ze Lwowa, wspominała:

W tym bydlęcym wagonie, jak się potem zorientowałam, było wszystko, co składa się na

społeczeństwo, wszystkie warstwy. Począwszy od kobiety, która pod Lwowem miała chałupę i kilka krów i która każdego dnia przywoziła do Lwowa świeże mleko, poprzez żony policjantów, sklepikarza Kierskiego czy owego porucznika, aż do prezydentowej miasta Lwowa, pułkownikowej Wenclowej z synem. Nie wiedziałam, że tuż za nami jechał transport, w którym był hrabia Bielski, właściciel pałacyku, w którym mieścił się Związek Literatów, hrabia Tarnowski, przyjaciel Bielskich, który z Krynicy przyjechał do nich z wizytą

(Ola Watowa, „Wszystko, co najważniejsze”, Warszawa 1990).

W drugiej deportacji wywieziono do Kazachstanu 60 tys. osób, wśród nich około 80 proc. stanowili Polacy – 41 tys. Szef kazachstańskiego NKWD informował, że w transportach, które trafiły na podległy mu teren, 50 proc. stanowiły dzieci i starcy, 30 proc. kobiety i 20 proc. mężczyźni, a zatrudnienie ich jest nadzwyczaj trudne. Sowiecka zasada głosiła zaś, że kto nie pracuje, ten nie je. Stanisława Michalska, córka przedwojennego posła (więźnia Starobielska zamordowanego w Charkowie), miała wówczas 17 lat. Relacjonowała:

Pracowałam wraz z matką w Kaczyrach w sowchozie pod nadzorem brygadystów, którzy ściśle współpracowali z NKWD.

Brygadziści ci chodzili z pejcami. Bardzo często przy zbiorce siana, nigdy niedosuszonego, bili ludzi przy składaniu stogów wspomnianymi wyżej pejcami

(„Relacje deportowanych z Kresów Wschodnich w 1940 roku”, Kielce-Kraków 2014).

Deportowani do Kazachstanu umierali na tyfus, a także z powodu ciężkiej zimy.

Od 30 grudnia do 15 stycznia szalał straszliwy huragan śnieżny tzw. buran – wspomniał Stefan Turek – Nie było żadnej komunikacji i ginęliśmy z głodu. Z głodu i wycieńczenia zginął nasz znajomy, były lekarz powiat. ze Lwowa, dr Litwinowicz, u nas na wspólnej kwaterze zmarła p. Julia Szeibel z Tarnopola, zbity przez kazaka zmarł syn drugiej p. Szeibel. A poza tym umierało wielu na puchlinę z głodu. Powstał już nasz cmentarz, na którym stawialiśmy pierwsze krzyże

(„W czterdziestym nas, Matko, na Sybir zesłali”, wyb. i oprac. Jan Tomasz Gross, Irena Grudzińska-Gross, Warszawa 1990).

Wśród deportowanych do Kazachstanu byli dziewięcioletni Jerzy Krzysztoń, późniejszy pisarz, który swoje przeżycia opisał w „Wielbłądzie na stepie”, oraz rok młodszy syn policjanta Tadeusz Kukiz, ojciec muzyka i polityka Pawła Kukiza. Jako dziecko trafił na stepy Kazachstanu także Andrzej Gwiazda, który zostanie jednym z najbardziej znanych działaczy NSZZ „Solidarność”.

Trzecia deportacja nastąpiła w czerwcu 1940 r. i objęła tzw. bieżenców – uchodźców, którzy we wrześniu 1939 r. znaleźli się na ziemiach okupowanych przez Związek Sowiecki i których Niemcy nie chcieli przyjąć na teren swojej okupacji. Byli to głównie Żydzi. Jednym z deportowanych był ośmioletni Jerzy Hoffman, który będzie jednym z najbardziej znanych reżyserów filmowych. Wśród deportowanych 76 tys. było także około 11 proc. Polaków – do 9 tys. osób. Deportacje trwały także w 1941 r. i związane były głównie z przygotowaniem się Związku Sowieckiego do wojny. Wywożono ludzi z pasa przygranicznego.

Według polskich historyków – na podstawie niepełnych jednak akt NKWD – w latach 1940–1941 deportowanych

zostało z okupowanych ziem wschodnich co najmniej 315 tys. polskich obywateli. Było wśród nich 200 tys. Polaków (63 proc.), 70 tys. Żydów, 25 tys. Ukraińców i kilkanaście tysięcy Białorusinów. Rzeczywista liczba deportowanych była większa, nie wiadomo jednak o ile. Trudna jest do ustalenia liczba zmarłych z głodu i chorób. Znane są tylko częściowe ustalenia. Spośród 140 tys. osób z pierwszej deportacji miało, według danych sowieckich, umrzeć do połowy 1941 r. około 1 tys. (Stanisław Ciesielski, Grzegorz Hryciuk, Aleksander Srebrakowski, „Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim”, Toruń 2004).

Sytuacja deportowanych zmieniła się, gdy po zawarciu układu Sikorski-Majski, w sierpniu 1941 r., władze sowieckie ogłosiły „amnestię” dla obywateli polskich. Odzyskali wolność. Wielu z nich nie nacieszyło się nią długo: umierali z chorób i z powodu epidemii.

Szczęśliwi byli ci, którym udało się wyjść z „niehumanitarnej ziemi” wraz z żołnierzami armii gen. Andersa – było to około 41 tys. osób. Po pogorszeniu się stosunków polsko-sowieckich, na początku 1943 r., władze sowieckie zaczęły znów uznawać obywateli polskich za swoich. Dopiero po wojnie polscy obywatele, ale tylko Polacy i Żydzi, mogli wrócić do kraju w nowych już granicach i z nowym, komunistycznym ustrojem.

ANDERSOWCY

Po zakończeniu II wojny światowej około tysiąca żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie wróciło w swoje rodzinne strony, na Kresy Wschodnie, anektowane przez Związek Sowiecki. Podjęli taką decyzję, mimo że parę lat wcześniej byli sowieckimi jeńcami, więźniami NKWD, deportowanymi. Chcieli wrócić do domu. Niedługo się nim nacieszyli. W 1951 r., jako andersowcy, zostali wysłani wraz z rodzinami na Syberię. Niektórych skazano za „antysowiecką agitację”, aż na 25 lat łagrów. Wielu z nich przyjechało w końcu lat 50. do Polski. Inni wybrali trudniejszy los – ojcowiznę w sowieckim państwie.



Polskie dzieci na zesłaniu, obdarte i wiecznie głodne. FOT. MAC



Maciej Rosalak

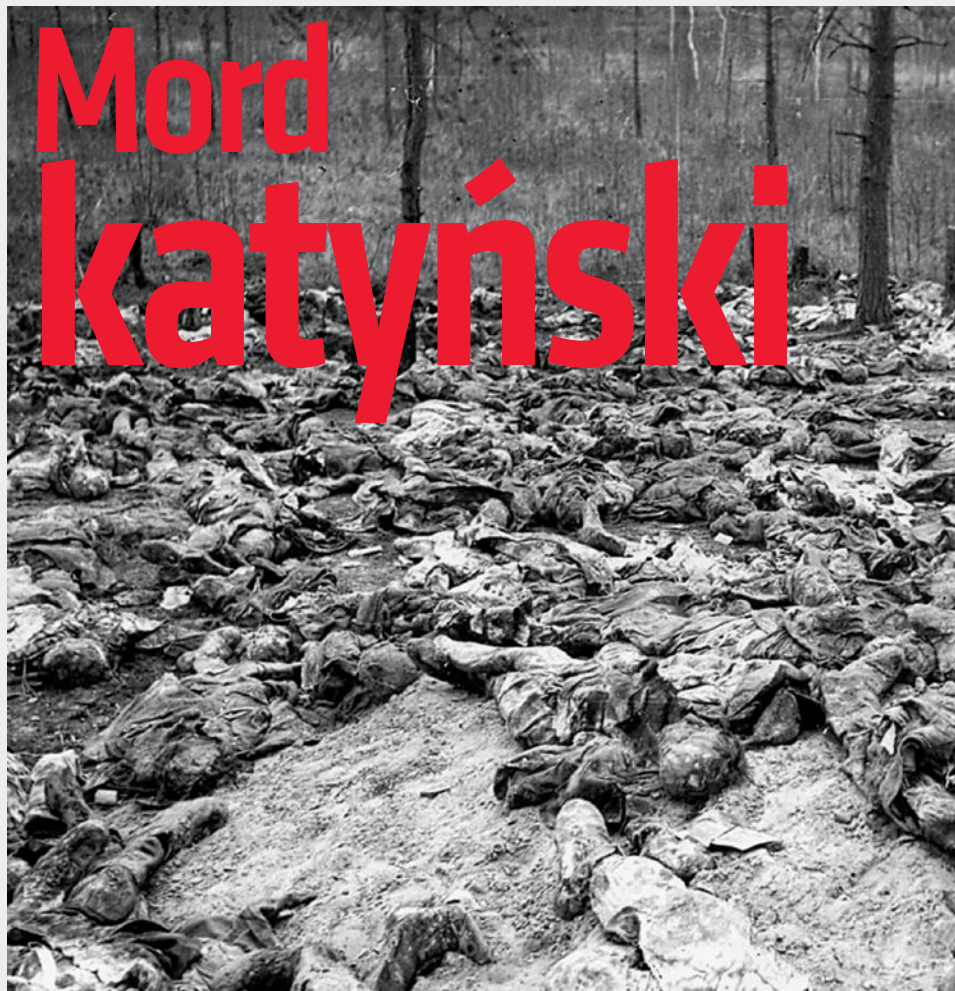
To była zbrodnia bez precedensu w historii całej, tak okrutnej, II wojny światowej

Nigdzie i nigdy nie zdarzyło się, aby w zbiorowym mordzie pozbawić życia – i to w szczególnie bestialski sposób – dwadzieścia kilka tysięcy internowanych oficerów i funkcjonariuszy sąsiedniego państwa. Tego nie zrobił nawet Hitler. A tak postąpił Związek Sowiecki z Polakami osadzonymi jesienią 1939 r. w trzech obozach (w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku) oraz w więzieniach na terenie ZSRS. Mord ten nazywa się zbrodnią katyńską od miejsca (Katyń), gdzie rozstrzelano oficerów internowanych w Kozielsku i trafiono na pierwsze ślady zbrodni.

WYROK

5 marca 1940 r. siedmiu najwyższych postawionych w hierarchii sowieckiego państwa dygnitarzy uczestniczyło w podjęciu decyzji o dokonaniu tej bezprecedensowej zbrodni ludobójstwa. Wszyscy byli członkami Biura Politycznego Wszechnarzędzowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Wniosek przedstawił szef resortu spraw wewnętrznych Ławrientij Beria. Akceptowali go własnoręcznie podpisami: bolszewicki przywódca Józef Stalin, premier i szef resortu spraw zagranicznych Władysław Mołotow, wicepremier Anastas Mikołajew i minister obrony Kliment Woroszyłow. Zaocześnie poparli wniosek (ich nazwiska też widnieją na dokumentach): nominalna głowa państwa Michaił Kalinin oraz sekretarz BP WKP(b) Łazar Kaganowicz. Beria dopisał: „Wykonać!”.

Kto i co miał wykonać? Otóż na podstawie tej decyzji oraz rozkazu z 22 marca 1940 r. Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych (rosyjski skrót: NKWD) miał „rozpatrzyć sprawę” 14,7 tys. polskich oficerów (obozy w Kozielsku i Starobielsku), a także urzędników, ziemian, fabrykantów, policjantów, osadników i pracowników służby więziennej (obóz w Ostaszkowie) oraz 11 tys. innych oficerów, funkcjonariuszy i członków polskich elit osadzonych w więzieniach na Ukrainie i Białorusi. „Rozpatrzeniem” miało się zająć trzech wy-



soko postawionych towarzyszy z NKWD: Wsiewołod Mierkułow, Bogdan Kobiłow, Leonid Basztakow i powinno ono nastąpić „w trybie specjalnym z zastosowaniem wobec nich najwyższego wymiaru kary – rozstrzelania”.

Na podstawie informacji zbieranych w obozach i więzieniach podczas skrupulatnych przesłuchań i donosów zebranych przez Zarząd Jeńców Wojennych NKWD ZSRS oraz ukraińskie i białoruskie NKWD w ciągu jesieni 1939 i zimy przełomu lat 1939/1940 osadzeni w obozach Polacy uzyskali specyficzną rekomendację – jako „kontrewolucyjnie i wrogo nastawieni” do Kraju Rad. Tak określano wszystkich, którzy deklarowali wierność swojej ojczyźnie, Rzeczypospolitej Polskiej. To wystarczyło do wydania rozkazu-wyroku – bez sądu, obrony, a nawet bez powiadomienia skazanych. Trójce wyznaczonej do rozpatrzenia spraw pozostawało rozwiązanie praktycznego problemu: w jakiej kolejności, którego dnia i w jakiej liczbie wystać poszczególne partie jeńców i więźniów na śmierć. Około 400 osadzonych w obozach zachowało życie, a więc mniej więcej co 30.

Świadczy to o nieugiętej postawie znakomitej większości jeńców. Ludobójstwo nazywano w rozkazie „rozładowaniem” obozów i więzień. Ów eufemizm krył polecenie wywiezienia i rozstrzelania bezbronnych, niewinnych ludzi, a następnie wrzucenia do dołu i zasypiania ziemią ich ciał.

„ROZŁADOWANIE” OBOZÓW I WIĘZIEŃ

Towarzysze z kierownictwa NKWD przystąpili do dzieła z wielką wprawą i ze znajomością rzeczy. Zadania przydzielali Kobiłow oraz szef Zarządu Jeńców Wojennych NKWD Piotr Soprunienko. Już po 10 dniach od decyzji politbiura wykonawcy rozkazu dokładnie wiedzieli, co i jak mają czynić, i – czynili. Byli to: członkowie kierownictw NKWD obwodów smoleńskiego, kalinińskiego i charkowskiego, w których miały odbyć się egzekucje, a także komendanci, komisarze polityczni i naczelnicy oddziałów specjalnych z trzech podlegających rozładowaniu obozów oraz funkcjonariusze wojsk konwojowych i transportowych NKWD. Przypomnijmy, że i w Kozielsku, i w Ostaszkowie oraz po



Zwłoki pomordowanych oficerów polskich wydobyte z dołów śmierci w lesie katyńskim. FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

katyńskim nad dołami śmierci na uroczysku Kozie Góry, być może także w willi wypoczynkowej NKWD oraz siedzibie NKWD w Smoleńsku.

Z Ostaszkowa pierwszą grupę wywieziono na stracenie 4 kwietnia. Liczyła ona aż 343 ofiary, którym odebrano życie w Twerze (wówczas: Kalinin). 5 kwietnia ze Starobielska wywieziono 195 jeńców. Tej samej doby zostali zabici w Charkowie i pogrzebani w Piatichatkach, lesistej dzielnicy Charkowa.

Śmiertelne strzały oddawano z pistoletów Walther kaliber 7,65 (Katyń, Twer) i rewolwerów Nagant kal. 7,62 (Charków). W Kalininie i Charkowie jeńcy byli mordowani w podziemiach miejscowej siedziby NKWD. O szczegółach ich śmierci w Twerze zeznawał w 1991 r. szef tamtejszego NKWD Dmitrij Tokariew. Cele, w których rozstrzeliwano skutych kajdankami jeńców po przywiezieniu z obozu, miały drzwi i ściany obite wołókniem, by tłumić odgłos strzałów. Wprowadzano ich tam po sprawdzeniu personaliów w tzw. pokoju leninowskim – obwieszanej plakatami świetlicy. Przez drugie drzwi celi śmierci wyrzucano zwłoki na podwórze, skąd zabierały je przykrywane brezentem ciężarówkami. Wiozły je potem do wykopanych dołów śmierci, które znajdowały się w Miednoje pod Twerem (pod Charkowem we wspomnianych Piatichatkach). Każdego dnia po zakończonej „pracy” myto samochody z krwi i części mózgow.

W Katyniu i Charkowie katami, strzelającymi w potylicę przyprowadzanych więźniów, byli funkcjonariusze miejscowych formacji NKWD. Do Tweru natomiast przyjechała ekipa zwyrodnialców z Moskwy. Do 12 maja nakaz Biura Politycznego WKP(b) został wykonany.

W Katyniu zamordowano 4410 jeńców z Kozielska. Życie stracili tam m.in.: kontradmirał Xawery Czernicki, generałowie Bronisław Bohatyrewicz, Henryk Minkiewicz i Mieczysław Smorawiński, a także naczelny kapelan prawosławny WP ppłk Szymon Federońko, naczelny rabin WP mjr Baruch Steinberg oraz jedyna kobieta – ppor. pil. Janina Lewandowska.

W Charkowie zamordowano 3739 internowanych w Starobielsku, w tym ośmiu generałów: Leona Billewicza, Stanisława Hallera, Aleksandra Kowalewskiego, Ka-

zimierza Orlika-Łukoskiego, Konstantego Plisowskiego, Franciszka Sikorskiego, Leonarda Skierskiego i Piotra Skuratowicza.

W Twerze zamordowano 6314 jeńców, przede wszystkim funkcjonariuszy Policji Państwowej i Służby Więziennej.

28 października 1940 r. ludowy komisarz spraw wewnętrznych Ławrientij Beria wydał ściśle tajny rozkaz „O nagrodach dla pracowników NKWD” z obwodów: kalinińskiego, charkowskiego i smoleńskiego. Studwudziestu pięciu funkcjonariuszom przyznano nagrody w wysokości nie mniejszej niż 800 rubli.

Od 20 marca grupy NKWD-zistów, wysłane do więzień w naszych większych miastach na wschodzie, sporządzają dla „trójki” gotowe listy ludzi przeznaczonych do rozstrzelania. Od następnego dnia do centrali NKWD napływają wypełnione przez nich ściśle według instrukcji formularze. Na czele tych złowrogich komand, liczących od kilku do kilkunastu funkcjonariuszy, stali: na kresach ukraińskich – Paweł Mieszik (Lwów), Aleksiej Szkurin (Tarnopol), Anatolij Barminow (Stanisławów), Piotr Luferow (Drohobycz), Paweł Żurawlew (Równe), Samuił Kriwulin (Łuck); na kresach białoruskich – Izrail Pinzur (Białystok), Grigorij Filkenberg (Brześć), Nikołaj Kożewnikow (Wilejka), Aleksander Kuprianow (Pińsk), Andriej Siniewow (Baranowicz).

22 marca Beria rozkazuje „rozładowanie” więzień. Najpierw przewożono osadzonych z dawnej Małopolski Wschodniej i Wołynia do Kijowa, Charkowa i Chersonia. Tam byli zabijani sowiecką metodą – strzałem w tył głowy – albo w tamtejszych więzieniach, albo na pobliskich terenach zalesionych, takich jak podkijowska Bykownia. Dwa miesiące trwała krwawa operacja, której ofiarą padło nie mniej niż 7305 Polaków. Znamy tych z tzw. listy ukraińskiej, bo została przekazana naszej prokuraturze w 1994 r. Znajduje się na niej 3435 nazwisk obywateli polskich. Jest wśród nich 726 oficerów Wojska Polskiego (w tym siedmiu generałów), 770 policjantów, 28 funkcjonariuszy więziennych. Wiemy, że na tzw. liście białoruskiej znajdowało się 3870 nazwisk, ale szczegółów nie znamy, bo i sama lista albo zaginęła, albo znajduje się w archiwach służb bezpieczeństwa Rosji lub Białorusi. Nie wiemy też, co stało się z podobną liczbą obywateli polskich, którzy padli zapewne ofiarą zbrodniczej czystki etnicznej w innych rejonach „niehumanitarnej ziemi”.

części w Starobielsku obozy mieściły się w dawnych zabudowaniach klasztornych.

W obozach i więzieniach wypełniano szczegółowe kwestionariusze ofiar wraz ze zdjęciami. Aby uspić czujność jeńców, przeprowadzano szczepienia przeciw tyfusowi i cholercie, niekiedy wykonywano nawet zdjęcia rentgenowskie, rozpuszczano pogłoski o rychłych wyjazdach do Francji czy do Rumunii, a kiedy pełni nadziei jeńcy wyjeżdżali, dostawali na drogę chleb, cukier i śledzie, zawinięte – po raz pierwszy! – w czysty nowy szary papier. Od 16 marca zakazano jeńcom wysyłania prywatnej korespondencji. Do 25 marca komendanci obozów, szefowie wojsk konwojowych i transportowych NKWD meldują pełną gotowość do operacji.

Jednak już trzy dni po zbrodniczej decyzji politbiura wysłano z Kozielska – jakby na próbę – pierwszy transport jeńców do Katynia. 15 marca zamordowano tam 13 z nich. Systematyczna kaźń rozpoczęła się w Katyniu 3 kwietnia, gdy rozstrzelano 74 oficerów WP. Jeńców z Kozielska przewożono na stację kolejową w Gniezdowie koło Smoleńska. Mordowano ich w lesie



Z prof. Bogdanem Musiałem, badaczem historii Niemiec i ZSRS rozmawia Piotr Włoczyk

Zbrodnia „z potrzeby chwili”

Pospolici przestępcy zostali latem 1941 r. zwolnieni, natomiast więźniów politycznych NKWD masowo mordowała

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego więźniowie przetrzymywani na Kresach Wschodnich zostali wymordowani przez NKWD w pierwszych dniach wojny z III Rzeszą?

BOGDAN MUSIAŁ: Sowieckie plany zakładały ewakuację więźniów na wschód w przypadku agresji niemieckiej. Szybko jednak się okazało, że było to niemożliwe przy tempie natarcia Niemców i brakach taboru kolejowego. Do wywiezienia tych blisko 50 tys. ludzi potrzebnych było ok. 1,5 tys. wagonów kolejowych – zorganizowanie takiego taboru było wówczas nierealne. Ta zbrodnia wynikała więc z „potrzeby chwili” sowieckich władz – nie był to skrupulatnie zaplanowany mord, jak w przypadku Katynia, lecz szybka reakcja na dramatycznie niekorzystną sytuację na froncie. Sowietci bali się, że gdyby Niemcy uwolnili tych więźniów, ludzie ci w przyszłości działaliby na szkodę Moskwy.

Jaka była skala tej zbrodni?

Moim zdaniem liczba ofiar mieści się w przedziale 20–30 tys. Bardzo ciężko podać w tym kontekście konkretne dane – nie dysponujemy wiarygodnymi źródłami. Niemcy po wkroczeniu na tereny okupowane przez ZSRS bardzo chętnie zabrali się do liczenia ofiar bolszewików. Wysłali nawet na polskie kresy specjalne komisje, ale przecież w ich interesie było zawyżanie liczb, aby przedstawić bolszewików jako bestie jeszcze bardziej krwiożercze niż w rzeczywistości. Z kolei w interesie NKWD było zaniżanie liczb, żeby pokazać, iż udało się „ewakuować” na wschód jak najwięcej wrogów systemu.

Według danych NKWD na początku czerwca 1941 r. w sowieckich więzieniach

na okupowanych kresach przetrzymywano 39 847 osób. Ta liczba nie uwzględnia jednak ludzi aresztowanych tuż przed wojną niemiecko-sowiecką, których dane z braku czasu nie znalazły się w kartotekach NKWD. Moim zdaniem możemy więc mówić raczej o 50 tys. więźniów. Blisko połowa z nich została zamordowana.

Kim były ofiary?

Lwią część, na pewno ponad połowę, stanowili więźniowie polityczni. Tutaj też trudno jednak podać konkretne dane procentowe. Musimy przy tym pamiętać, że katalog przestępstw politycznych był w Sowietach bardzo szeroki. Jako wrogowie komunizmu byli przecież klasyfikowani ludzie, którzy zostali złapani podczas przekraczania granicy, albo ci, którzy spóźnili się kwadrans do pracy. Generalnie można powiedzieć, że większość więźniów to ludzie, którzy uznani zostali za elementy kontrewolucyjne.

Zdecydowaną mniejszość uwięzionych stanowili pospolici przestępcy. Ich sytuacja po napaści niemieckiej była najlepsza – w tej grupie zamordowano najmniej osób, prawie wszystkich pospolitych przestępców po prostu zwolniono z więzień.

Jakiej narodowości były ofiary tej zbrodni?

To nie była – w przeciwieństwie do Katynia – akcja stricte antypolska. Generalnie wśród ofiar przeważali Ukraińcy, choć trzeba pamiętać, że na terenie zachodniej Białorusi wśród zamordowanych najwięcej było Polaków. Poza Ukraińcami zabito tysiące Polaków, Żydów, Białorusinów, Litwinów, Łotyszy, Estończyków oraz Rumunów.



W tej masakrze zginęli przedstawiciele wszystkich narodów, które wówczas były zniewolone przez Związek Sowiecki. Pamiętajmy przecież, że okupowane były również kraje bałtyckie oraz Besarabia i tam też Sowietci wypełnili więzienia ludźmi, których uważali za wrogów systemu komunistycznego.

Ilu Polaków zostało wówczas zamordowanych?

Kilka tysięcy – tu też mamy problem z wiarygodnymi danymi. Jeżeli chodzi o Polaków, to nie było wśród nich zbyt wielu przedstawicieli inteligencji – tę część polskiego społeczeństwa Sowietci do tego czasu zdążyli już w znacznej części wywieźć na wschód.

Dlaczego większość ofiar tej zbrodni stanowili Ukraińcy?

Pierwsze uderzenie Sowietów po zajęciu Kresów Wschodnich skierowane było przeciwko polskim elitom. To był z perspektywy Moskwy priorytet. Stalin wiedział, jak oporni wobec komunizmu są Polacy, i postanowił w ten sposób ściąć „głowę” polskiego społeczeństwa. W akcji przeciwko Polakom brali udział m.in. ukraińscy nacjonaliści. Rękami bolsze-



Zrozpaczone rodziny szukają bliskich wśród pomordowanych w jednym z lwowskich więzień. FOT. GETTY IMAGES

wickimi niszczyli polskie elity. Sytuacja szybko jednak się odmiała. Latem 1940 r. społeczeństwo polskie kresów było już właściwie zatimizowane po trzech wielkich wywózkach, Polacy zostali więc właściwie zneutralizowani. Ostrze sowieckiego terroru skierowane zostało przeciwko Ukraińcom – Moskwa zaczęła ich wówczas postrzegać jako zagrożenie większe od Polaków. I rzeczywiście, Ukraińcy tworzyli struktury podziemne, utrzymywali kontakty z Niemcami, którzy wspierali ich na drodze do utworzenia własnej państwowości. Jesienią 1940 r. liczba aresztowanych Ukraińców była już większa od liczby zatrzymanych Polaków. Ten trend nasilał się aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Co było sygnałem do rozpoczęcia tych mordów?

Podstawą do działania NKWD był telegram Ławrientija Berii wysłany już 24 czerwca. Szef NKWD nakazał w nim zabić więźniów zaklasyfikowanych jako zagrożenie dla systemu komunistycznego. Było kilka metod mordowania. Jedną z nich było rozstrzelanie więźniów pojedynczo w piwnicach strzałem w potylicę. Robiono to na modłę katyńską. Gdy jednak czas

naglił, NKWD-ziści rozstrzelali naraz całe cele lub wrzucali do nich granaty. Masakr zbiorowych dokonywano też na podwórzach więziennych – NKWD-ziści włączali wówczas silniki, starając się zagłuszyć strzały. Więźniowie byli także zabijani w marszach śmierci – NKWD masakrowało w lasach całe kolumny więźniów prowadzonych na wschód. Tak zginęły tysiące ludzi, szczególnie na terenie Białorusi.

Gdzie doszło do największych zbrodni?

We Lwowie. Miasto to było oddalone o około 80 km od granicy niemiecko-sowieckiej. Decydujące było to, że uderzenie niemieckie na tym odcinku frontu było nieco słabsze niż na północy. Sowietów mieli dzięki temu blisko tydzień na pozbycie się więźniów. 23 czerwca główny zarząd więziennictwa NKWD nakazał wywieźć 4591 więźniów ze Lwowa na wschód. Nie było jednak wystarczającej liczby wagonów, więc wywieziono tylko 527 więźniów.

Pospolici przestępcy zostali zwolnieni, natomiast więźniów politycznych NKWD masowo mordowało w więzieniach lwowskich między 25 a 28 czerwca. Do najgorszych zbrodni doszło w trzech więzieniach – przy ulicach Łąckiego, Zamarstynowskiej

i Kazimierzowskiej. To ostatnie więzienie było największe, nazywano je Brygidkami. W momencie inwazji przetrzymywano tam około 4 tys. ludzi. Zamordowano tam co najmniej połowę więźniów. W pozostałych dwóch więzieniach przetrzymywano po blisko tysiąc osób, z których zdecydowana większość została zgładzona.

Po wejściu do miasta Niemców mieszkańcy Lwowa znaleźli w piwnicach więzień stopy zwłok, a na dziedzińcu więzienia przy ul. Łąckiego znaleziono dwa masowe groby. Ofiarami byli głównie młodzi mężczyźni. W tym przypadku także ciężko o konkretne dane, bo wiemy, że setki osób Sowietów aresztowali we Lwowie już po 22 czerwca i w związku z tym ludzie ci nie znaleźli się w statystykach NKWD.

Zależność wydaje się w tej kwestii prosta: im bliżej granicy, tym większą mieli więźniowie szansę na przeżycie.

Tak. Dużo więcej szczęścia od więźniów ze Lwowa mieli więźniowie z Białegostoku, Grodna, Łomży, Brześcia, Kowna i Mariopola. Do mordów dochodziło tam tylko w pojedynczych przypadkach. Większość więźniów przetrzymywana w tych miastach uszła z życiem. Przykładowo Brześć został zajęty przez Wehrmacht już o godz. 5 pierwszego dnia inwazji. Więźniowie wraz z żołnierzami niemieckimi polowali tam na strażników więziennych.

Szybkie nadejście Niemców wywoływało reakcje, które z dzisiejszej perspektywy wydają się szokujące. W książce podaję relację świadka sowieckich zbrodni Mieczysława Ogrodowczyka, który wspominał, że polscy więźniowie na widok Niemców wkraczających do więzienia krzyknęli... „Heil, Hitler!”. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale ci ludzie w tamtym momencie byli naprawdę wdzięczni Niemcom za ocalenie przed egzekucją. Zapominali na chwilę, że cała wojna zaczęła się od Hitlera.

Jak często bolszewicy torturowali więźniów przed egzekucją? W książce podaje pan wiele relacji opisujących widok zmaltretowanych ciał, jedną z nich jest niemiecki raport o sytuacji zastanej we Lwowie w więzieniu przy ul. Łąckiego: „U wszystkich ofiar stwierdzono liczne okaleczenia tępym narzędziem. Kobiety były zgwałcone, miały poobcinane piersi. Także męskie organy płciowe stały się celem bolszewickich perwersji. [...] aresztowani poddani zostali koszmarnym torturom”. Trudno uwierzyć, by wobec tak szybkiego natarcia Wehrmachtu NKWD aż tak pastwiło się nad swoimi ofiarami.

Akurat Niemcy mieli wszelkie powody, by wyolbrzymić okrucieństwo bolsze-

Dwików. Świadczeń tortur jest cała masa, ale jest to problematyczne zagadnienie. Oczywiście były przypadki, że bolszewicy wyżywali się na więźniach, ale to nie miało charakteru powszechnego – brakowało im po prostu na to czasu. Częściowo powodem ogromnej liczby relacji o torturach jest to, że znajdowane w więzieniach zwłoki wyglądały potwornie: były obgryzione przez szczury, wiele okaleczeń wynikało z tego, że ofiary ginęły od granatów. To tylko wzmagало plotki o maltretowaniu więźniów. Natrafiłem na przekazy, według których Sowietci zdierali skórę z ofiar. Bardzo często się to powtarza. Wy tłumaczenie tego jest zaskakujące: skóra bardzo

Goebbelsa z 6 lipca 1941 r.: „Wielka kampania propagandowa przeciwko bolszewizmowi rozpoczęta. Prasa, radio, film i propaganda. Przesłanie: opadła zasłona i oto Moskwa bez maski. Do tego cały materiał o okrucieństwach we Lwowie, dokąd posłałem dwudziestu dziennikarzy i radiowców. Te widoki naprawdę budzą grozę”.

Te zbrodnie były nieocenioną pomocą propagandową dla Goebbelsa. Niemieckie władze od pierwszego dnia inwazji tłumaczyły społeczeństwu, że atak na ZSRS był wyprzedzającym ciosem wymierzonym zbrodniczemu państwu i oto żołnierze Wehrmachtu od razu natrafiają na góry trupów... Nazistowska propaganda nie mogła znaleźć lepszego potwier-

Wiele wskazuje na to, że bez masowych egzekucji więźniów początek wojny byłby mniej brutalny ze strony Niemców. Przy okazji pisania tej książki rozmawiałem z wieloma niemieckimi weteranami Wehrmachtu i wypytywałem ich o pierwsze dni wojny z ZSRS. Mówili, że to wtedy, widząc góry zwłok, na dobre zaczęli nienawidzić komunizmu. Wszyscy podkreślali, że było to bardzo mocne przeżycie.

Niemieccy żołnierze byli zabierani do więzień na specjalne pokazy, by na własne oczy zobaczyli te zbrodnie. Propaganda Goebbelsa okazała się w znacznej mierze odpowiadać prawdzie. To było potwierdzenie dla żołnierzy, że rozkaz rozstrzeliwania politruków był słuszny. Tym bardziej że niemieccy żołnierze, wchodząc na terytorium ZSRS, zobaczyli sowiecką broń ofensywną, czyli było to dla nich potwierdzenie uderzenia wyprzedzającego. Ich wzburzenie widać w ich listach do rodzin, które wiele mówi o nastroju panującym wśród niemieckich żołnierzy. Pisali w nich o krwiożerczości Sowietów, czuć w tych listach strach przed tym, co by się stało z ich rodzinami, gdyby Armia Czerwona weszła do Niemiec. To była dla nich dodatkowa motywacja do bezlitosnego zabijania Sowietów, do porzucenia wszelkich zasad.

Spory fragment książki poświęca pan też wpływowi zbrodni w więzieniach na ludność żydowską mieszkającą na kresach...

Oczywiście, część siepaczy komunistycznych była pochodzenia żydowskiego, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale niemiecka propaganda uogólniła to i winą obarczyła całą społeczność żydowską. Ten zabieg wywołał jeszcze większy antysemityzm wśród niemieckich żołnierzy, którzy widzieli zbrodnie NKWD dokonane w więzieniach. Ukraińcy oraz Polacy także zarzucali Żydom współudział w tych mordach. Żydów zmuszano do wynoszenia zwłok zamordowanych więźniów, poniżano ich, a w wielu miejscach kończyło się to dla żydowskich mieszkańców kresów jeszcze tragiczniej – po prostu byli oni w odwecie zabijani.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Jeden z oddziałów NKWD w 1941 r. FOT. ARCHIWUM

łatwo odchodzi od ciała, które dłuższy czas leży w ciepłe. Gdy wyciągano zwłoki z cel, piwnic, skóra sama odchodziła od ciała. To także wzmacniało przekaz o potwornym okrucieństwie bolszewików. Wiadomo, że w niektórych przypadkach zwłoki były kaleczone na pokaz – robili to ukraińscy nacjonaliści, którym naturalnie zależało na zwiększeniu grozy sytuacji. Chcieli w ten sposób uwypuklić męczeństwo swojego narodu. Ciekawe, że na kresach północno-wschodnich relacji o torturach jest mniej. To wszystko nie umniejsza jednak zbrodni sowieckich, których skala i bez powszechnego stosowania wymyślnych tortur była olbrzymia.

Masowe morderstwa w kresowych więzieniach bardzo szybko stały się nieocenioną pomocą propagandową dla Niemców. W książce przywołuje pan w tym kontekście wpis w dzienniku Josepha

dzienia swoich tez. To było coś na kształt samospełniającej się przepowiedni. Goebbels od razu zorganizował wyjazd dla dziennikarzy z krajów neutralnych, by pokazać światu, że Niemcy prowadzą w istocie krucjatę przeciwko krwiożerczym bolszewikom.

W niemieckich mediach mówiono tylko o ukraińskich i litewskich ofiarach. Było to bezpieczne z punktu widzenia Niemców. Pominięto milczeniem Polaków i Żydów – z oczywistych względów Niemcy nie chcieli we własnym społeczeństwie budzić współczucia dla tych nacji.

Podtytuł pańskiej książki to: „Brutalizacja wojny niemiecko-sowieckiej latem 1941 roku”. Wydawać by się jednak mogło, że starcie nazizmu z komunizmem z natury rzeczy od samego początku musiało być wyjątkowo brutalne. Przecież jeszcze przed inwazją na ZSRS Niemcy zaplanowali rozstrzelanie politruków.



prof. Bogdan Musiał – jest historykiem, specjalizuje się w dziejach Niemiec i ZSRS. Jedną z jego najważniejszych publikacji jest „Rozstrzelac elementy kontrrewolucyjnej! Brutalizacja wojny niemiecko-sowieckiej latem 1941 roku”.



FOT. ARCHIWUM

komunistyczne były znikome, iluzoryczne i bez pomocy sowieckiej Polska Partia Robotnicza nie miała żadnych szans nie tylko na zdobycie władzy, lecz także na realne, jawne funkcjonowanie w terenie w jakimkolwiek regionie Polski.

Władzę zagarnęła dzięki agresji sowieckiej, i to w sposób absolutnie bezprawny. Działał przecież cały czas rząd Polski na emigracji, który do początku lipca 1945 r. jest uznawany przez wszystkich, z wyjątkiem Rosji sowieckiej, podmiotem prawa międzynarodowego. Wprawdzie z biegiem czasu stosunek sił między komunistami a ugrupowaniami niepodległościowymi zmienia się coraz bardziej na niekorzyść tych ostatnich, ale prawdziwe wyniki referendum w czerwcu 1946 r. oraz wyborów w styczniu 1947 r. świadczą o tym, że trzy czwarte Polaków nie chce komunizmu.

WOJNA DOMOWA CZY POWSTANIE?

Czy po wkroczeniu Sowietów w latach 1944 i 1945 rozgorzała u nas wojna domowa czy powstanie narodowe? W 1944 r. dochodzi na terenie tzw. Polski lubelskiej do represji na ogromną skalę przy użyciu zarówno oddziałów frontowych Armii Czerwonej, jak i NKWD. Przypomina to sytuację, która wiele dni wcześniej rozegrała się na Wileńszczyźnie, w Nowogródzkim i we Lwowskim, gdzie więziono żołnierzy Armii Krajowej po wspólnej z nimi walce przeciw Niemcom, a ujawniających się przedstawicieli prawowitego rządu na uchodźstwie aresztowano. Dąży się do „przetłarczenia kregosłupa” siłom wiernym prawowitemu rządowi polskiemu na uchodźstwie, zwłaszcza na terenach Białostocczyzny, Mazowsza, Lubelszczyzny i Rzeszowskiego, gdzie działa trzecia część sił AK. Sytuacja ta powtarza się w lecie 1945 r., już po zakończeniu działań wojennych.

Powstanie przeciw okupacji sowieckiej wzbierało głównie jako akt samoobrony. Tam, gdzie wkraczała Armia Czerwona, mnożyły się rabunki, mordy i gwałty. Nie tylko więc zamach na naszą wolność i suwerenność, lecz także niszczenie rodzinnej wsi, ojczystego domu, ucieczka przed aresztowaniem, torturami i egzekucją skłaniały Polaków do sięgnięcia po broń.

Następczynią rozwiązanej na początku 1945 r. Armii Krajowej była Delegatura Sił Zbrojnych, a następnie jej kontynuacja: zrzeszenie Wolność i Niezawisłość. Agencja komunistyczna potrafiła dość szybko namierzać i aresztować prezesów kolejnych rządów WiN. I tak płk Jan Rzepecki stał

Czerwona zaraza 1944–1945



Maciej Rosalak

Bez pomocy sowieckiej PPR nie miała żadnych szans nie tylko na zdobycie władzy, lecz także na realne, jawne funkcjonowanie w terenie w jakimkolwiek regionie Polski

Najważniejsza różnica w ocenie tego, co stało się w Polsce w latach 1944–1945, wynika z różnego spojrzenia na rolę czynnika zewnętrznego – czyli sowieckiego – oraz oceny rzeczywistych wpływów PPR w społeczeństwie polskim i jej satelitów tworzących PKWN. Armia Ludowa w Polsce w 1944 r. liczyła maksymalnie kilka tysięcy ludzi – przy ponad 300 tys. żołnierzy Armii Krajowej, 80 tys. z Batalionów Chłopskich, 100 tys. z Narodowych Sił Zbrojnych. To pokazuje, jak wpływy

■ na czele organizacji tylko dwa miesiące (od początku września do początku listopada 1945), ppłk Franciszek Niepokólczycki niespełna rok, ppłk Wincenty Kwieciński niespełna kwartał, a heroiczny ppłk Łukasz Ciepliński – prawie rok, do 27 listopada 1947 r. Zamordowano go po bestialskim śledztwie 1 marca 1951 r. wraz z sześcioma współpracownikami. Zachował się jego gryps z więzienia: „W czasie śledztwa leżałem skatowany w kałuży własnej krwi. Mój stan psychiczny był w tych warunkach taki, że nie mogłem sobie zdawać sprawy z tego, co pisał oficer śledczy”.

Obok WiN działały inne organizacje niepodległościowe, zwłaszcza wyrosłe z ruchu narodowego jak Narodowa Organizacja Wojskowa i Narodowe Zjednoczenie Wojskowe. Oto kilka z licznych, znaczących starć żołnierzy niezłomnych z „czerwoną zarazą” w 1945 r.:

- Kuryłówka, 7 maja – Franciszek Przysiężniak „Ojciec Jan” z NOW daje w wielkiej bitwie odpór NKWD;
- Las Stocki, 24 maja – Marian Bernaciak „Orlik” zwycięża w bitwie połączone siły NKWD, UB i MO;
- Kielce, 4 sierpnia – Antoni Heda „Szary” rozbija więzienie w mieście i uwalnia więźniów. Od Zamościa do Krakowa rozbito w tym czasie kilkadziesiąt komunistycznych więzień i uwolniono więzionych. Niekiedy opanowywano wtedy całe miasta i miasteczka, takie jak Radom, Radomsko, Włodawa, Biłgoraj;
- Miodusy Pokrzywne, 18 sierpnia – 5. Brygada Wileńska AK niszczy w bitwie bandę NKWD (dowodzili: Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt” i Władysław Łukasiuk „Młot”).

Polscy komuniści w maju/czerwcu 1945 r. skierowali do obław przeciw podziemi kilka dywizji LWP, ale akcje te zakończyły się w znacznej mierze niepowodzeniem. Żołnierze dezertowali – tak jak 636 poborowych z 31. Pułku Piechoty LWP w październiku 1944 r. pod Krasnymstawem. PKWN utrzymał się jedynie dlatego, że Sowieci traktowali ziemie polskie jako obszar przyfrontowy, gdzie oni sprawowali władzę i nie zamierzali się jej pozbyć.

NKWD W POLSCE

W 1945 r. działało w Polsce pięć dywizji NKWD: 57., 58., 59., 63., 64. (a później też 62., ściągnięta latem z Mołdawii do Białegostoku). Wszystkie miały obowiązek zwalczania polskiego podziemia, ale większość podlegała do-

wódcom frontowym. Tylko 64. Dywizja została podporządkowana instruktorowi NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, kierowanym przez Stanisława Radkiewicza. Funkcję instruktora NKWD (czyli prawdziwego szefa) przy MBP najpierw pełnił Iwan Sierow, potem Nikolaј Seliwanowski. 10-tyśięczna, wyspecjalizowana 64. Zbiorcza Dywizja Wojsk Wewnętrznych NKWD operowała głównie na terenie Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny. W Lublinie stacjonował sztab dywizji, a miejscem dyslokacji pozostałych jednostek dywizji były: Kraśnik, Zamość, Siedlce, Przemyśl, Rzeszów i Białystok. Dywizja ta istniała do listopada 1946 r.

Oficerowie sowieccy byli obecni w aparacie bezpieczeństwa w dwóch formach. Po pierwsze – w formie ukrytej, na polskich etatach, zajmując różne stanowiska na zapleczu: w administracji, kadrach, finansach, organizacji uzbrojenia itp. Po drugie – jako doradcy na sowieckich etatach, którzy nie udawali polskich oficerów. Z początku było ich kilkuset – do 1947 r. już od szczebla powiatu.

Z NKWD przeniesiono samą zasadę systemu: policja polityczna ma kontrolować wszystko. Każdy jest podejrzanym. W Rosji bolszewickiej aparat bezpieczeństwa posiadał również uprawnienia sądownicze. U nas bezpieczeństwa mogła przetrzymać w areszcie śledczym nawet 10 lat, ale nie mogła ferować wyroków. Często jednak zabijała w śledztwie bez wyroku...

OBOZY NKWD I UB

Aresztowanych osadzano w obozach do niedawna hitlerowskich. Na podstawie dokumentacji MBP można ustalić, że w Polsce w kwietniu 1945 r. funkcjonowało 16 obozów, w których ułokowano 27 826 więźniów. W drugiej połowie roku liczba takich placówek wzrosła do 28. Od stycznia 1945 do sierpnia 1946 r. przetrzymywano tam łącznie około 47 tys. osób. A oto niektóre z takich obozów:

- Krzesimów koło Łęcznej (lipiec 1944–sierpień 1948) – pierwszy obóz



Podpułkownik Łukasz Ciepliński

FOT. ARCHIWUM

NKWD na terenie Polski lubelskiej, gdzie zamordowano kilkaset osób. Innych wywożono stąd do łagrów sowieckich.

- Obóz NKWD w Rembertowie, założony w grudniu 1944 r. na terenie rembertowskiej fabryki Zakładów Amunicyjnych „Pocisk” i pełniący funkcję punktu zbornego przed deportacją w głąb ZSRS. Wiosną 1945 r. w obozie znajdowało się około 2,5 tys. więźniów. Nocą z 20 na 21 maja obóz został zdobyty

i rozbity przez oddział Obwodu Mińskiego Mazowieckiej AK, dowodzony przez ppor. Edwarda Wasilewskiego „Wichurę”.

- Majdanek – były hitlerowski obóz koncentracyjny pod Lublinem, który od lata 1944 do końca 1945 r. odgrywał rolę obozu NKWD dla aresztowanych członków Polskiego Państwa Podziemnego. W obozie tym zostali osadzeni oficerowie z Komendy Armii Krajowej Lublin i innych obwodów, 3. Dywizji Piechoty AK, 27. Wołyńskiej DP, 30. DP spieszącej na pomoc walczącej Warszawy. 23 sierpnia 1944 r. 250 oficerów i podoficerów AK wywieziono na sowiecki Wschód.

- KL Warschau, dawny niemiecki obóz pracy przy ul. Gęsiej, od stycznia 1945 do maja 1945 r. prowadzony przez NKWD, a potem do 1949 r. przez UB. W straszliwych warunkach przetrzymywano w nim żołnierzy Armii Krajowej, jeńców i „innych przestępców”. Poniosło tu śmierć – również w egzekucjach – około 1,8 tys. osób.

- KL Gross-Rosen w Rogoźnicy. Po wojnie w ciągu dwóch lat na terenie tego obozu funkcjonowało tajne więzienie NKWD.

- Jaworzno, obóz pracy – 6 kwietnia 1945 r. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego utworzyło Centralne Obozy Pracy, powołując obóz w Jaworznie, a następnie (w latach 1950–1956) Progressywne Więzienie dla Młodocianych w Jaworznie. Trafiło do niego około 5 tys. młodych polskich patriotów poniżej 21. roku życia.

MILION DO WIĘZIENIA!

W epoce stalinowskiej – jak mówiono – ludzie dzielili się na tych, którzy siedzą, siedzieli albo będą siedzieć. Ze statystyk MBP wynika, że w 1950 r. funkcjonowało w kraju 122 zakładów karnych. Wszyst-

kie były w latach 1945–1956 przepelnione. Norma z okresu międzywojennego ustalająca 13 m sześć. dla każdego więźnia nie była respektowana; w 1945 r. obniżono ją do 8 m sześć., co oznaczało 2 metry powierzchni dla każdego więźnia, a na początku lat 50. normę zaniżono do 5 m sześć. (Rawicz, Fordon) oraz nawet do 1 m sześć. (zamek w Lublinie). W latach 1945–1953 przez wszystkie więzienia i areszty przeszło około miliona osób. Przeciętny ruch więźniów w ciągu roku wynosił blisko 140 tys. ludzi, w tym około 14 tys. skazanych na podstawie zarzutów politycznych.

Więźniowie w zakładach karnych byli poddawani różnego rodzaju represjom, do których zaliczyć można m.in.: pobyt w karczerze, zakaz spacerów, odebranie paczek i listów, wstrzymanie widzeń z rodziną. Więźniowie polityczni byli ponadto poddawani różnego rodzaju szykanom i szantażowi psychicznemu; na porządku dziennym były pobicia więźniów; praktykowano tzw. śmierć pod kontrolą (do ciężko chorych więźniów nie wzywano lekarzy – tak zmarł m.in. Kazimierz Pużak). Porucznik Marian Gadomski „Niedźwiadek” został na śmierć zakatowany w trakcie przesłuchania. Porucznik Stefan Broniarski „Liść” podczas dwuletniego bestialskiego śledztwa trzykrotnie usiłował popełnić samobójstwo.

Kazimierz Moczarski wymieniał 49 rodzajów tortur, którym go poddawano. Obok prostego bicia i sadzania na nodze odwróconego stołka były tortury bardzo wymyślne. Przykładowo konwejer, czyli przesłuchiwanie non stop przez wiele dni i nocy bez pozwalania na sen, przypomina śledztwo Zbigniewa Stypułkowskiego w Moskwie przed procesem szesnastu.

Z niepełnych danych Centralnego Zarządu Zakładów Karnych wynika, że w latach 1944–1956 w więzieniach wykonano 2810 wyroków śmierci; najnowsze badania wskazują, że liczbę tę należy zwiększyć do 4,5 tys. wykonanych wyroków śmierci, głównie w więzieniach śledczych. Więźniowie wielokrotnie podejmowali próby ucieczek; w 1945 r. zbiegło 1157 więźniów.

OBŁAWA AUGUSTOWSKA

Była to największa ludobójcza operacja przeprowadzona przez Sowietów już po zakończeniu wojny z Niemcami. Celem było unicestwienie polskiego ruchu

niepodległościowego w Augustowskim. Tamtejsze lasy stały się schronieniem dla żołnierzy Armii Krajowej, których wspierała ludność okolicznych wiosek. Przypuszcza się też, że właśnie tamteży miał jechać Stalin na rozpoczynającą się konferencję w Poczdamie (17 lipca–2 sierpnia 1945) i chodziło o zabezpieczenie jego podróży.

Użyto potężnych sił: dziewięciu dywizji Armii 3. Frontu Białoruskiego, liczących około 50 tys. czerwonoarmistów, licznych funkcjonariuszy kontrwywiadu wojskowego Smiersz oraz oddziałów 62. Dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD przeznaczonej wyłącznie do walki z polskimi siłami niepodległościowymi. Okupantom pomagali funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, zwłaszcza z Augustowa, wśród których wyróżniał się Mirosław Milewski – późniejszy szef MSW (1980–1981), a nawet członek Biura Politycznego KC PZPR (1981–1985). Natomiast pododdziałem 1. Praskiego Pułku Piechoty w sile ponad stu żołnierzy dowodził por. Maksymilian Sznepf, w latach 60. pułkownik, szef Studium Wojskowego Uniwersytetu Warszawskiego.

Między 12 a 19 lipca podczas przeczesywania rozległych obszarów Puszczy Augustowskiej, sięgających poza dzisiejsze granice z Litwą i Białorusią, ujęto 7049 osób. Z tej liczby zwolniono 5015

osób, a wśród pozostałych zatrzymanych rozpoznano 844 „bandytów” (czyli uczestników polskiego ruchu niepodległościowego). Podano, że 252 z nich było „Litwinami”. Naprawdę byli oni polskimi partyzantami z Wileńszczyzny, którzy uciekli tu przed Armią Czerwoną i sowiecką okupacją. Tych przekazano organom NKWD na Litwie i ślad po nich zaginął.

Należy zsumować liczbę przeznaczonych do natychmiastowej likwidacji tak zwanych bandytów – czyli 592 zamordowanych Polaków + 252 zamordowanych „Litwinów” – i otrzymaną liczbę (844) zsumować z liczbą osób przeznaczonych do dalszego śledztwa (1090), po których również ślad się urywa. Dodając 844 do 1090, otrzymamy sumę zamordowanych, czyli 1934. Niemal 2 tys. Polaków!

Do dziś nie znaleziono miejsc, gdzie naszych rodaków zamordowano, a następnie gdzie ich zakopano w dołach śmierci. Wskazywano różne miejscowości – na przykład Giby, gdzie nawet odkryto zbiorowe mogiły, które jednak okazały się grobem żołnierzy niemieckich. Być może należy szukać w Puszczy Rominckiej w rejonie tamtejszej kwatery Göringa. Wskazywano też Naumowicze pod Grodnem, Kalety oraz leśniczówkę Giedź – po białoruskiej stronie, ale przy samej granicy z Polską.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



ROS. JACEK GRABUJEC